

LUEGER W KOŁOMYI.

Opowieść wesoła, zaczerpnięta ze stosunków galicyjskich

przez

Grzegorza Smólskiego.

6 (Ciąg dalszy).

— W imieniu prawa — woła komisarz donośnym głosem — aresztuję pana!

— Mnieee... zaa coooo?

— Nie ndawaj pan zdziwienia! Nic to panu nie pomoże.

— Mnieee... aa...resztować! Rzeeccz...

— Dość komedii!... Kto pan jesteś? co tu robisz?

— Cooo rooobię?... kandyduję!...

Komisarz zaśmiał się głośno.

— Kandyduje... dynamitem!

— Naa miłość Booga...

— Kto Pan jesteś?

— Dr. Ezechiel Floch, rabin z Stadlau.

— Pan jesteś — azys panem. Piękny ruf!... Proszę się wylegitymować.

— Oto moje bilety wizytowe, listy...

— To żadna legitymacja. Każdy łotr może sobie kazać zrobić bilety na dowolne imię i nazwisko, równie listy adresować pod zmyślonem nazwiskiem. Dla nas to nie jest żadna legitymacja.

— Przysięgaam!

— A to co? — rzecze komisarz spostrzegłszy strój żydowski. leżący na kanapie.

— Ubiór żydowski.

— Widzę... chciałeś się ptaszku przebrać, by zmylić pogoń za sobą.

— Chciałem się przebrać, bo tu chasydzi... faktor, który tu stoi może poświadczyć.

— Ja o niczem nie wiem — odpiera Goldstückel — niech się pan mną nie wvmawja. Wiem tylko tyle, co mogę *pszięgnąć* każdej chwili, że ten pan zażądał cały ubiór żydowski z cices, tałasem i fałszywe pejsy... To mój interes, więc przyniosłem. Więcej nic nie wiem.

— Świadek — rzecze komisarz — zrobi potem zeznanie do protokołu. Poczem dodaje:

— Co za głupia wymówka. Gdybyś pan był istotnie rabinem, nie potrzebowałbyś się dopiero przebierać za żyda. Rabini chodzą, po żydowsku, nie zaś w modnym ubraniu salonowym.

— U nas nie... Chciałem się przebrać, by sprawić na wyborcach żydowskich dobre wrażenie.

— Wykręt!

— Jestem zameldowany.

— Wiem o tem, lecz fałszywie.

— Co fałszywie!... jestem zameldowany jako dr. Ezechiel Floch.

— Żadam legitymacji — rozumiesz mnie pan?

— Daję słowo honoru — przysięgam!

— Androny!... Gdybym nawet wierzył, że czarne jest białem, w rabinostwo pańskie nie mogę żadną miarą przypuszczać, żebyś pan miał sprawać sobie ubiór żydowski w Kołomyi. Chcąc istotnie oszukiwać wyborców, byłbyś się pan zaopatrzył we wszystko w Wiedniu, nie tutaj, gdzie pana przecież widzieli ludzie w stroju francuskim na dworcu kolejowym, w hotelu... Mnie nie zdurzysz bratku tak głupią opowieścią! — i zwracając się do żandarmów rzekł:

— Proszę zabrać to wszystko — ważny corpus delicti.

Na to woła obcy w rozpacz:

— Wielce czcigodny przedstawicielu c. k. władzy rządowej pleno titulo! cóż miałem zrobić, gdy mi w drodze skradziono kuferek, w którym wiozłem z Wiednia strój żydowski. Spostrzegłem kradzież przed Stanisławowem. Zatrzymałem się tam, chcąc kupić sobie ubiór żydowski, lecz gotowego nie dostałem. Musiałem go więc sprawić sobie tutaj.

— Opowiadaj pan bajki komu innemu, nie mnie!

— Dostojny panie zlituj się nademną!... nie wtrącaj mnie w nieszczęście, w które sam nie wiem, jak wlażłem. Mam tyle na głowie... mowa... wizyty... agitacja...

— Po raz ostatni wzywam pana, byś się wylegitymował, lub z nami w drogę!

— W drogę?... dokąd?

— Do ciupy, mospanku!

— Jaaaj!...

— No, prędzej!...

— Mam listy, bilety, fotografię... oto mój wizerunek.

— Skądże ja mam wiedzieć, jaki łotr kryje się w tej podobiznie.

— Łotr!... ja łotrem nie jestem... Jaką mam mieć legitymację? U nas w Austrii niema przecie przymusu paszportowego.

— Brać go!

— Dla Boga, proszę zaczekać... Mam znajomych, którzy mogą stwierdzić tożsamość mojej osoby.

— Jakich?

— W Wiedniu bardzo wielu.

— Niech staną i świadczą.

— Zatelegrafuję do nich, by przyjechali.

— Bardzo pięknie, lecz tymczasem ptaszku czekasz na nich u nas w klateczce. Mógłbyś tak samo odwołać się na szacha perskiego lub na Mikada.

— To gwałt... możliwy tylko w Galicyi.

— Pokażę ja ci zaraz Galicyę...

— Narobię hałasu w Wiedniu...

— Brać — rzecze komisarz do żandarmów, którzy zabierają się do spełnienia rozkazu.

W tej chwili odzywają się z ulicy okropne krzyki, wycia, gwizdy, a równocześnie zaczynają wylać szyby w oknach z brzękiem na podłogę pokoju.

Ogłuszający, piekielny hałas i wrzawa.

Przez powybijane okna zalatują ochryple głosy:

— *Sołste brechejn dy kizkes.*

— *Schwarze Jur sołste habn!*

— *Paszoł mit ihm!*

Na czele chałatowców, demonstrantów chałatowych dokazuje najwięcej Krikalis z czerwoną chorągiewką w ręku.

Wrzeszczy, iż mało nie pęknie:

— Hańba mu, hersztowi klerykałowi!... *auf dyn Hak mit ihm, auf dyn Galgen!*...

Z wielką trudnością torują żandarmi wśród ciżby żydowskiej drogę komisarzowi do stojących dwóch fiaków przed hotelem. Komisarz wsiada do pierwszego, w drugim zajmują miejsce obydwaj żandarmi z więźniem miejsce.

Wybiega Goldstückel i krzyczy na całe gardło:

— *Gayt zü Haus — kikt, dyn herszt haben genimen dy Schandaren zü sich!*

Tłum wybucha nagle dziką radością.

— Er ist arretiert!

— Wiwajt rząd cisarski!

— *Man fährt ihm auf dyn Galgen!*

— *Wiwajt pan komisarz.*

— *Du sołste brechejn dyn kark, du sołst arimgejn in grojsse Cures!*

— *Das Chojele Nojfel sołst dü kriegn!*

— *Kikt dyn Majlech vün dy Antesemiten, wie er geit auf dy szubenice!*

Więzień mdleje z przestachu.

VIII.

Na rynku, rojącym się żydami, stoi przed hotelem dr. Turteltaub z Goldstücklem i zacierają sobie ręce z radością. Udało im się uprzątnąć z widowni wyborczej wroga bardzo groźnego i niebezpiecznego. Jużci wypuszczają go na wolność, lecz dopiero za dni kilka, po wyborach, gdy przyjaciele jego przybędą z Wiednia do Kołomyi, by stwierdzić tożsamość jego osoby. Tymczasem „pan Wiednia“ posiedzi sobie w kozie kołomyjskiej. Powinna odejść mu ochota raz na zawsze do robienia wycieczek do Galicyi... Chciał grać rolę rabina Flocha. Co za zuchwały i przebiegły pomysł. Wszystko jednak na nic! Goldstückel pobił go z kretelem wyższością rozumu.

Dr. Turteltaub klepie z przymileniem Goldstückla po ramieniu.

— Simche — powiada — masz dobrą *kepeke*. Pomysł twój był genialny. Teraz wie, że Kołomyja nie Wiedeń. Jemu chodzić u nas do *jesziwe*... Prawda, że pękła tysiączka, lecz bynajmniej mi jej nie żal.

— Gdyśmy uprzątnęli największego wroga — mówił Goldstückel — to damy sobie już radę z wszystkimi innymi. Hrabia sam się zabija skąpstwem i brakiem odwagi. Przestał być dla nas niebezpiecznym, zwłaszcza, że kupiliśmy Niesamowitego i Namentowskiego, obydwóch największych jego agitatorów. Kiełbasowski, ani Przekrasa nie pomogą mu. Rabin Floch niebezpieczny kandydat, lecz na szczęście spóźnił się z przyjazdem. Na dziś zwołał kahał wielkie zgromadzenie, a jego jeszcze tu niema. Może wcale nie przyjedzie. Słychać, że u niego brak pieniędzy.

— Wtedy nasza wygrana byłaby pewną — zauważył dr. Turteltaub. Mam Simche wielkie zaufanie do ciebie, a więc i nadzieję, że zwyciężymy, chociażby rabin z Stadlau przyjechał. Wszak pieniądze nie żalują, a pieniąż przecie główna rzecz.

Przechodzi chłopiec hotelowy niosąc nowe numery „Kukułki“ i „Makolągwy“.

— Słuchajno młody przyjacielu — woła dr.

Turteltaub — daj nam gazety do przegłównienia masz na piwo.

— Mam osobny numer, z jednej i drugiej redakcji — mówi chłopiec — dla wielmożnego pana.

— Jeszcze lepiej... Redaktorowie — powiada do Goldstückla — łaskawi dla mnie. Głupie piśmidła, lecz trzeba je przecież mieć po swojej stronie.

„Kukułka“ ma artykuł wstępny p. n. „Kandydaci krajowi“. W nim dr. Maksymilian Turteltaub trzy razy tłustymi głoskami odbity, podczas gdy hr. Młodzieński tylko „garmondowany“ nawet bez rozstrzelenia. „Makolągwa“ przynosi apoteozę „kandydata demokratycznego, twierdząc, że to mąż najzasłańszy, jakiego Polska wydała w XIX stuleciu.

Więść o przybyciu dr. Luegera dotarła do przedmieść. Co on zacz, nie wiedzieli wyborcy chrześcijańscy, szczególnie analfabeci. Agitatorowie „stronnictwa chrześcijańskiego“ mówili im, że cesarz przysłał go, żeby zrobić porządek z żydami. Ma on odbyć wielki sąd na żydów. Zdarzyło się jednak, że właśnie dziś rankiem Szmaja Cybuch zjechał z sądową komisją na przedmieście grabić Hrycia Kowalyszynego za dług niezapłacony. Przedmieszczanie zbiegli się i stawili opór, lecz gdy przysłali później żandarmi przeprowadzono grabież prawidłowo. Osłabiło to nieco ich wiarę w wszech moc Luegera, lecz mimo to objawiało się między nimi wielkie poruszenie i zachwyt.

Brandmajer i Sedlaczek z polecenia Kiełbasowskiego sformowali korowód przedmieszczan dla powitania Luegera i w celu wzięcia udziału w nabożeństwie, urządzonem na intencję zwycięstwa „kandydata chrześcijańskiego“. Na czele korowodu szło bractwo kościelne z swoją chorągwią, potem niesiono na wysokiej żerdzi dużą drewnianą tablicę z napisem: „Do kupy chrześciance!... głosujmy jak jeden mąż na jasnę wielmożnego Augusta hrabiego Młodzieńskiego z Oleksiniec! Nie dajmy się niedowiarkom!“

Zaroila się ulica Praska przedmieszczanami. ciągnącymi ku rynkowi. Tłok był tak wielki, że pociąg kolei lokalnej ugrzązł w tłumie. Korowód wzbudził zaniepokojenie między żydami, którzy na okrzyk: „*kik, dy gojen kimmen!*“ wylegli czarną chmurą na rynek przy znacznie wzmożonej straży policyjnej.

Korowód podążył wprost przed hotel, by uczcić okrzykami dostojnego gościa. Krzyczano z całej siły, aż mury trzęsły się, lecz Lueger nie ukazał się ludowi witającemu. Natomiast wybiegł hotelista, upominając rozentuzjasmowanych, żeby byli cicho.

— U mnie niema żadnego Luegera — prawil — dajcież, panowie gromada spokój z krzykiem.

Ktoś zawołał:

— Niema go, bo żydzi go zaaresztowali!

Słowa te przejmują korowodziarzy.

Stary braciszek, szewc Dzieciół, krzyknie:

— Sędziego cesarskiego zaaresztowali psia-wiary... Niepozwolimy!... Hej, panowie bracia, trzeba go odbić z rąk...

Nie mógł skończyć, gdyż w tej chwili chwycił go policyant pod gardło, wołając:

— Jak pan majster nie będzie cicho — wsiej czas pójdzie do ciupy. Milczeć i cicho siedzieć!

Uciszył się więc wraz z korowodem, który zaintonowawszy pobożną pieśń: „Kto się w opiekę podda Panu swemu“, zrobił zwrot w prawo i udał na nabożeństwo do kościoła, by od Pana panów wymodlić zwycięstwo w walce wyborczej.

Zajeżdża pyszną czwórką zaprzężony powóz hrabiego wśród trzasków bicia przed sklep Korpacza, gdzie w pokoju śniadaniowym znajdowali się „na przekazce“ baron Seydel, Jasio, Niesamowity, Namentowski i Przekrasa, aptekarz Szypułka i Sedlaczek.

Korpacz i goście ze sklepu wyszli na powitanie.

Z powozu wysiada hrabia Młodzieński i jakiś obcy jegomość, długi, chudy, w pomietym kapeluszu z szerokimi kresami, poplamionym popielatym surducie i wykrzywionych, polatanych ciężemkach.

Niktby się nie domyślił, że to „ekscelencya“, członek komitetu centralnego.

Korpacz czołobitnie zgity w dwoje wita „jasnie wielmożnych wysokich gości“ nie posiadając się z honorem, iż zaszczycają jego lokal.

Ekscelencya odpowiada na składany hołd:

Lokal fraszka, grunt kozina

I dobrego lampka wina.

Hrabia i ekscelencya udają się z towarzystwem do pokoju śniadaniowego. Hrabia dotychczas jeszcze w nim nie był. Jasio każe co prędzej przynieść szampana mrozonego, czemu ekscelencya sprzeciwia się mówiąc:

Szampan!... daj spokój!... wolę węgrzyną,

Od marcypanów lepsza kozina. C. d. n.